

SPOJRZENIE WSTECZ¹

1

Pamiętam, że dużo rozmawialiśmy, w tym wiele na temat „swobody”, lecz zauważyłem, że mimo iż mogliśmy robić to, co chcemy (lub może właśnie z tego powodu), nikt się nad tym poważnie nie zastanawiał. Mieliśmy różne poglądy na to, jak duży jest obszar naszej wolności. Do tego dochodziło przeświadczenie, że ignorowanie naszej aktywności działałoby na nas równie zniechęcająco i unieszkodliwiało nas z równą skutecznością, co bezpośredni zakaz. Za względny luksus braku zagrożenia osobistej wolności płaciliśmy poczuciem *niematerialności*, podczas gdy tam, gdzie przekroczenie oficjalnie akceptowanych granic niosło ze sobą poważne skutki – skutki, które mogły zaważyć na całym życiu, z odebraniem wolności osobistej włącznie – odmowa podporządkowania się miała o wiele większy ciężar gatunkowy i dla artystów, i dla znajdującego się po drugiej stronie barykady państwa. Niepokój, jaki budzili w *aparacie* odmienicy, był jedną z rzeczy, które nadawały ich działaniom dużego znaczenia; był jednym z nielicznych przypadków, kiedy policja i politycy oddają – na krótko i zwykle niechętnie – swoim krytykom władzę. Artyści zdawali sobie sprawę, że istnieją co najmniej dwie mniejszości, które biorą ich bardzo serio – pomimo, że mogą dać jedynie, dajmy na to, dwa koncerty w roku, oba nieoficjalne i grupujące powiadomioną za pośrednictwem poczty pantoflowej publiczność, co dla zewnętrznego obserwatora może być oznaką kompletnej porażki. Tym niemniej głęboki oddźwięk owych dwóch koncertów – wynikający z ograniczenia, które umożliwiło osiągnięcie rzeczywistego *znaczenia* – mówi o czymś przeciwnym. W tzw. „wolnym świecie, gdzie wszystko uchodzi”, na pewno istnieli muzycy, którzy oddaliby wszystko, żeby publiczność traktowała ich z równą powagą. Z drugiej strony, ilu z nich byłoby gotowych za to zapłacić? W tym cała trudność. Szczerze mówiąc, te wysokie koszty własne działają jak filtr – silny mechanizm środowiskowy, który przepuszcza jedynie najbardziej poważnych, najbardziej *zdeteminowanych* artystów – tych, którzy nie potrafią *nie* zrobić tego, co zrobić *muszą*.

Wyrażenie zgody na taką cenę musiałoby się wiązać z możliwością odczucia moralnej satysfakcji w ramach zadośćuczynienia. Łatwo pojąć satysfakcję w kontekście pieniędzy czy sławy, lecz czym wynagrodzić komuś lata nękania, potępiania, bojkotowania czy nawet więzienia? Większość rozsądnych, przyjaźnie nastawionych ludzi powiedziałyby, że nie ma czym. Podobnie powiedzieliby ci, którzy myślą o sławie, pieniądzu czy karierze, jak również wszyscy ci, którzy nie rozumieją, iż niepojętą jest rzeczą *nie* wścibiać nosa w nie swoje sprawy, np. w muzykę czy sztukę. Nie mówiąc już o zwykłej ludzkiej solidarności.

Można zatem powiedzieć, że pęknięcie dzielące wschodnią i zachodnią sztukę nie biegnie równoległe do linii dzielącej świat wolności i świat zakazów (jak postrzega się to na Zachodzie), lecz – co może bardziej istotne – wzdłuż granicy potrzeb i kosztów. To z niej wycofują się niezdecydowani przy zbyt dużym – ich zdaniem – wzroście obiektywnie minimalnej ceny. I to – jak sądzę – upodabnia działanie owej granicy do mechanizmów

¹ Tekst napisany na zamówienie „Big Ear Festival” w Budapeszcie w 2000 r. i zamieszczony w festiwalowym programie (przyp. tłum.)

ewolucyjnych. Dochodzenie do tej granicy jest zjawiskiem powszechnym, tyle że napotykanne przeszkody w rzeczywistości mogą się różnić co do natury, w zależności od warunków. Piętnaście lat temu byliśmy w stanie określić, które ze wspomnianych pęknięć dają się nam we znaki najbardziej. Obecnie pierwszego z nich już nie ma. Wszelka jawna opozycja wyparowała gdzieś, a wraz z nią jej pochodne – klarowność i ostrość widzenia. Dziś wszyscy musimy się zmagać z obojętnością i tzw. „siłami rynkowymi”. Nic nie jest już zakazane – jedynie ignorowane.

2

Granica dzieląca Wschód od Zachodu miała własności ścianki porowatej, która przepuszczała tylko w jednym kierunku. W związku z tym sytuacja przypominała bardziej proces osmozy niż dyfuzji, gdyż informacje przepływały w zasadzie tylko z Zachodu na Wschód, z powrotem zaś nie.

Pamiętam, jak podczas mojej pierwszej wizyty w Pradze zdumiałem się reprezentowanym przez zainteresowane kręgi poziomem wiedzy na temat kultury Zachodu – i to nie tylko w sensie zjawisk popularnych i oficjalnych, lecz również niepopularnych i „podziemnych”. Z kolei ja praktycznie nie wiedziałem nic na temat tego, co dzieje się w sześciu krajach tej części Europy. Ja, obywatel wolnego świata, gdzie informacja rzekomo leży na ulicy i wystarczy się po nią schylić. Lecz nawet jeśli przyjmiemy, iż informacje o kulturze wschodnioeuropejskiej były w moim świecie dostępne, to pozostaje faktem, iż nie było komu się nimi zainteresować. Podczas gdy w Pradze informacje o kulturze Zachodu ceniono do tego stopnia, iż wszelkie ciekawe wiadomości na ten temat były natychmiast kopiowane i rozprowadzane. Kultury wschodnioeuropejskie miały o wiele bardziej społeczne, mniej skomercjalizowane podejście do wiedzy, wywodzące się nie tyle z niedostatku informacji, co z rzeczywistego poczucia *wspólnoty*. My, ludzie Zachodu, nigdy nie mogliśmy tego pojąć, gdyż wspólnota – to kategoria, którą w większym lub mniejszym stopniu udało się nam wypełnić lub przynajmniej uczynić niezrozumiałą (stąd te nasze beznadziejne fantazje na jej temat). Tym, co dzieliło artystów z Europy Wschodniej i Zachodniej w stopniu porównywalnym do oczywistych i pozornych różnic w zakresie warunków pracy – lub wychodziło na jaw podczas rzadkich chwil, kiedy mogli się ze sobą komunikować – było zatem właśnie owo przygotowanie społeczne, owo poczucie odpowiedzialności.

Wspólnota, na którą natknąłem się w Pradze, nie przypominała luźnego zbiorowiska muzyków i artystów – na wzór naszych małych, domowych kręgów przyjaciół. W jej skład wchodził bowiem również matematycy, dysydenci, fizycy, architekci, chrześcijanie, filozofowie, pijacy i kandydaci na urząd prezydenta. Nie byli to inteligenci w ścisłym tego słowa znaczeniu, a raczej grupa ludzi złączonych pragnieniem przynależenia do szerszego świata, od którego ich odcięto; ludzi, którzy nie mogli się zgodzić na to, aby ich życie zależało od idiotów. O ile Czesi pracowali mając pełną wiedzę na temat zewnętrznego świata (rzecz jasna, borykając się w pierwszym rzędzie z własnymi problemami), to nie można tego powiedzieć o Zachodzie, którego horyzonty paradoksalnie coraz bardziej się zacieśniały i kurczyły w atmosferze powszechnie panującego przeświadczenia, iż Zachód może mieć teoretycznie wszystko, czego zapragnie (co przypomina anegdotę o palaczach, którzy trwają w nałogu, choć twierdzą, że mogą go w każdej chwili rzucić). Ze smutkiem zauważam, iż wiedza o możliwości uzyskania nieskrępowanego dostępu do informacji odsuwa w czasie decyzję o jej wykorzystaniu oraz nie sprzyja wyeksponowaniu faktu, iż bez zadania sobie

wysiłku dostęp do rzeczy marginalnych jest zawsze i nieuchronnie skazany na porażkę. To wniosek, który można wysnuć również i dziś, kiedy hasło „o powszechnym dostępie do internetu” przyświeca przygotowaniom do przekształcenia tego nowego medium w narzędzie biznesu. Rzeczy realnie dostępne – mimo iż podane tak, jakby świadczyły o szerokim wyborze – są w istocie jedynie *najbardziej banalnymi przykładami*. „Wybór” ten na pozór różni się od jawnego *dyktatu*, ponieważ mechanizmy dystrybucji (tj. reklama, media, pieniądze) działają w tym przypadku o wiele subtelniej, a tym samym są mniej widoczne niż oficjalne wykluczenie lub propaganda. Mamy po prostu bardziej zaawansowany system kontrolowania i potępiania – stworzony w oparciu o zasłonę dymną i grę lustrzanych odbić w miejsce prymitywnych kijów i krat. Dzięki temu nasze przysze paróweczki czują się na tyle bezpiecznie, że spokojnie możemy im powierzyć prowadzenie rzeźni.

Na Wschodzie miały miejsce ważne wydarzenia, lecz my je zignorowaliśmy. Głównie przez arogancję: po prostu nie potrzebowaliśmy wiedzieć. Niczym kolonialiści, którym nie chce się uczyć miejscowego języka i lekceważą dwujęzycznych (najczęściej zaś wielojęzycznych) krajowców jako „ciemnych dzikusów”. W latach 1980. to mało chlubne miano odnoszono do Wschodnich Europejczyków, którzy swoje działania opierali na poznaniu, podczas gdy zblazowani mieszkańcy Zachodu trwali w błogiej niewiedzy na temat kultury sporej części kontynentu. Zdaję sobie sprawę, że to duże uproszczenie, lecz opowiada o ważnej i niedokończonej historii – jak pokazują wydawnictwa pokroju „Nowej muzyki czeskiej lat 60.”² W ostateczności trudno nie przyznać, iż uzdrowienie sytuacji wymaga jeszcze sporo pracy.

Tym, co łączyło tę garstkę outsiderów w obu regionach Europy (mimo iż sami nie postrzegali tego w ten sposób), jako osoby spychane na margines, było symetryczne odrzucenie zastanych systemów, a na głębszym poziomie – wszelkich form tyranii z jej prokrustejskimi³ strukturami. Co osobliwe, ludzie ci przejawiali zwykle nadmierną sympatię do reżimu drugiej strony, odrzucając rodzimy. Pamiętam, jak będąc pierwszy raz w Pradze, podczas długiej rozmowy z Vaclavem Havlem usłyszałem, jakim strasznym systemem jest socjalizm oraz jak wspaniały jest Ronald Reagan i gospodarka rynkowa. Ja z kolei starałem się mu wyjaśnić, jak straszni są zachodni politycy i różne formy gospodarki rynkowej oraz że uważam socjalizm za system niewolny od wad, lecz lepszy. Przekonałem się, że przyjaciele, którzy byli w opozycji do starego systemu, nie mogą zaakceptować i nowego (z wyjątkiem Havla). I to – jak sądzę – jest jedna z tych rzeczy, które nas łączyły i nadal łączą.

Chris Cutler
wrzesień 2000

Tłumaczenie i opracowanie IRENEUSZ SOCHA © 2003-2005

² W oryginale *Czech New Music of the 1960s* – kompakt wydany przez czeską wytwórnę Arta (nr kat. F1 0048-2). Płyta prezentuje wybór utworów Josefa Berga, Rudolfa Komorouosa, Jana Rychlika oraz Zbynka Vostraka w wykonaniu Agon Ensemble pod dyrekcją Petra Kofroňa. Wydawnictwo to można nabyć w wirtualnych sklepach: <http://cdmusic.cz> oraz <http://www.rermegacorp.com> (przyp. tłum.).

³ Prokrustes – w mitologii greckiej wg jednej z tradycji syn Posejdona, zbójca grasujący na terenie Attyki. Schwytych podróżnych torturował „dopasowując” ich do łoża, rozciągając lub obcinając im członki. Od Prokrustesa wywodzi się przenośnia „prokrustowe łoże”, oznaczające sytuację zmuszającą do ulegania czemuś bez względu na okoliczności (przyp. tłum. za wiadomosci.onet.pl).